

KLASZTOR XXŹY MIECHOWITÓW.  
W MIECHOWIE.





## ZGROMADZENIE XX<sup>ty</sup> MIECHOWITÓW.

Jaxa Gryff po ukończonej świętej wyprawie przeciwko Saracenom, zwiedził grób Chrystusa Pana w Jerozolimie, i uzyskawszy pozwolenie u Almeryka Patriarchy, założenia zgromadzenia stróżów grobu Chrystusa, które Bolesław kędzierzawy i Innocenty III. Papież w roku 1,162 potwierdzili, wybudował kościół i klasztor w wsi swój Miechowie Wdztwie Krakowskiem i dobrami uposażył, lecz pierwszy ten kościół zbyt szczupły, na kaplicę obrócony został, a w roku 1233 Wisław Wiślimierz Biskup krakowski, założył węgielny kamień pod kościół obszerny, do dziś dnia wraz z wieżą istniejący.

Pożary trzykrotne a mianowicie w r. 1745, budowli téj straszne zadawały ciosy, zawsze jednak odbudowany i do pierwszego stanu wrócony, jest wewnątrz nader wspaniały; wszystkie ołtarze pokryte stukiem mozaikowym i ozdobione obrazami, z których dwa Stój Anny i Sgo Józefa pędzla Szinuglewicza, na szczególną uwagę zasługują.—Chór również wspaniały z organem, jednym z największych w królestwie,—Wieża na rycinie widziana, wysoka jest na 145 stop, z kulą z blachy miedzianej 18 stop średnicy mającą, tak, że 3ch ludzi wzięwszy się za ręce, od jednej strony do drugiej za ledwie dosięgnąć zdołają.

W czasie tylokrotnych pożarów zniknęły wszelkie pomniki Jaxów i dopiero ostatni proboszcz wystawił nagrobek z czarnego marmuru, dla Jaxy Gryfa założyciela zgromadzenia.

Proboszcze Jeneralni Miechowscy, czyli tak zwani Jenerałowie zgromadzenia, byli najczęściej obierani z pomiędzy biskupów, mieli wielką władzę świecką, a nawet w obrębie swych własności prawo miecza (jus gladii) przy nich zostawało. Świeckim osobom znanym z pobożności i przystępującym do bractwa, udzielali order krzyża złotego patryarchalnego Jerozolimskiego podwójnego, na czerwonej wstędze z czarnymi brzegami, i zwyczaj ten aż do śmierci ostatniego Jenerała w r. 1830 zeszłego dotrwał. Kościół obchodzi obrządki i ceremonie wielkanocne aż do adwentu; ostatniej zaś Niedzieli przed adwentowej; zastawiano nawet stoły ze zwykłym wielkanocnym świąconem.

Lud Miechowski jest oddany cały pobożności, mało przemysłny, a szczególna budowla domów, gdzie w obszernym rynku za ledwie 4 do 5 okien widzieć można było, całemu niemal miastu nadawała postać jednego klasztoru.

L. R.

## PAMIĘTNIKI XIĘCIA RAGUZY

(Marszałka Marmont)

Umieszczamy wyjątki z dzieła, które marszałek Xże Raguzy wkrótce ogłosi drukiem. Wszystko wzbudza w niem wielkie zajęcie. Xiążę Raguzy zwiedził krainy prawie nieznanne czytelnikom Europy, kraje w których teraz toczą się najważniejsze kwestye polityki i cywilizacyi, przebiegł je jako filozof, wojownik i uczony; uczynił nad niemi głębokie postrzeżenia, skreślił dokładnie ich zarys.

Każdy zapewne szukać będzie, w pamiętnikach xięcia Raguzy, śladów, czyli boleśne wspomnienia człowieka tak srodze dotkniętego od losu, nie zmieszany jego duszy, nie obłąkały sądu. Z próby téj wyjdzie korzystnie dzieło jego, jest bowiem nacechowane wyrozumiałością i spokojem umysłu. Widać w niem, roztropne umiarkowanie człowieka, którego zbyt często będąc nieszczęśliwym świadkiem i ofiarą błędów ludzkich, nie dowierza własnemu zdaniu i sądowi. Ta pogoda duszy w nieszczęściu i na wygnaniu, ta mądrość umysłu i ta stałość serca, czynią, że dzieło xięcia Raguzy wzbudza głębokie zajęcie, przywiązane do wielkich nieszczęść, znoszonych z talentem i odwagą.

Xiążę Raguzy wyjechał w r. 1834, umyślił zwiedzić południową Rosyją, Turcyją, Syryją, Palestynę i Egipt. Aby udać się do Odessy, jechać mógł na Galicyą albo na Węgry i Transylwanią. Obrął sobie tę ostatnią drogę. Węgry i Transylwania są to krainy bogate w przyszłość. Mieszczą w sobie żywioły niezmiernych bogactw i będą kiedyś główną podstawą potęgi domu Austriackiego. Umieszczamy niektóre wyjątki z ciekawej podróży xięcia Raguzy po Węgrach.

Kraj w Węgrzech zdaje się być pusty i zupełnie ogołcony z mieszkańców. Przejżdża się przez niezmierzone płaszczyny. Osady rolników, których ludność od 30 do 40 tysięcy dochodzi, znajdują się w wielkiej odległości jedne od drugich. Na wiosnę każdy wychodzi ze swojej siedziby zimowej i obojuje na polach które uprawiać będzie. Przez cały tydzień pracują w polu, a w osadzie pozostają same tylko dzieci, kobiety i trochę służących. Wieczorem w sobotę, naczelnik rodziny wraca do domu, zostawiając na polu wszystkie narzędzia rolnicze, lecz w poniedziałek rano idzie do pracy. Po sprzącieniu i zasiewie zboża, wszyscy wracają do osady. Ale te tymczasowe obozy już się zamieniają w baraki, które upiękniają zasadzonymi drzewami; baraki wkrótce stają się domami, a wtedy pozostaną tam mieszkańcy, kraj po-



kryje się folwarkami i wioskami, a Węgry żyć będą jak reszta Europy. Miasta postradają znaczną część ludności, przybiorą inną postać, i zamieszkane będą przez ludzi nie trudniących się uprawą roli, lecz żyjących z dochodu swego, z handlu i rękodzieł.

Kraj którego przebydź potrzeba jadąc z Wiednia do Budy, bardzo niedokładne wyobrażenie dałby podróżnemu którego nie posunął się w głąb Węgier. Jest dobrze uprawiony i przypomina Niemcy. Nie daleko Budy, kraj jest górzysty, wysokie brzegi panują po obu stronach rzeki, a piękne wyspy na Dunaju, upiększają krajobraz.

Miasto Buda wspaniały widok przedstawia. Ta starożytna stolica Węgier mocne czyni wrażenie w oczach podróżnego i przypomina średnie wieki. Stojąca na górze i otoczona murami, była niegdyś warownią. Gdy Turcy zajmowali Węgry, w Budzie rezydował Basza i tam zebrane były ich wojska. Z tamąd najeżdżali Austrią i oblegali Wiedeń. Było to zaczepne stanowisko z którego zamyślali podbić cały świat chrześcijański.

Dwa razy Wiedeń zaślonił Europę. Węgry, które Turcy tylko tymczasowo posiadali, wysłiznęły się z ich ręki i odtąd Niemcy odetchnęły spokojnie. — Buda jest stolicą władz rządowych, jest piękną, o ile jej położenie tego dozwala; zdobią ją wspaniałe pałace. W tém to mieście rezyduje palatyn; tam wymierzają sprawiedliwość wyższe sądy; jest to miasto królewskie.

Z drugiej strony rzeki jest miasto Pest, miasto handlu i przemysłu. Pest szybko wzrasta, ludność jego powiększa się co chwila, wznoszą się piękne gmachy, a jednakże, niezwykła przeszkoda sprzeciwić się będzie, ażeby którekolwiek bądź miasto w Węgrzech stało się wielkim miastem handlowym, dopóki nie ulegną zmianie cywilne prawa tego kraju. Nie ma obszernego i korzystnego handlu bez kredytu; nie ma kredytu tam, gdzie własność jest wątpliwa i gdzie dłużnik nie może być zniewolonym do płacenia. Tak dzieje się w Węgrzech: wierzyciel nie ma innej rękojmi, prócz moralności dłużnika.

Jest u Węgrów wewnętrzne uczucie dobra kraju i potrzebnych ulepszeń; lecz ponieważ każda zmiana użyteczna ogółowi, jest niekorzystna pojedynczym stanom lub osobom, przeto we wszystkich napotyka się opór; krzyżują się pomieszane wyobrażenia, chcą i nie chcą. I tak, chcą budować drogi, ten główny żywioł cywilizacji i ulepszenia, ale ponieważ skarb nie ma potrzebnych kapitałów, towarzystwo handlowe musiałoby podjąć się tego przedsięwzięcia,

a opłata drogowego zapewniłaby zwrot kosztów; lecz ci którzy najmocniej pragną dróg, nie chcą opłacać drogowego, ponieważ szlachcie węgierski nie może i nie powinien opłacać żadnych podatków. Jeszcze nie rozumieją w Węgrzech, że trzeba płacić, jeśli chcemy z bogactwem i powiększyć przyjemności życia. W ogóle, wyobrażenie opłaty oburza dumę szlachcica węgierskiego, a dopóki nie zostaną wykonzone te przesady, pochodzące z braku najprostszych wyobrażeń administracji, kraj nie postąpi i pozbawiony będzie niezmiernych ulepszeń do których jest zdolnym.

W następnych kartach, Xiążę Raguzy dowodzi do jakiego stopnia feudalność panuje w składzie rządu i obyczajach Węgrów. Oto jest najmocniejszy przykład tej prawdy.

Przy Edenburgu jest warownia Forchtenstein, należąca do Xięcia Esterhazego; leży na wzgórzu i mieści w sobie znaczną artylleryą, broni ręcznej na 3 lub 4 tysiące żołnierzy i skarb składający się z bardzo kosztownych klejnotów. Statut domu xiążąt Esterhazy, obowiązuje każdego z tych xiążąt aby ten skarb powiększali. Mogą naruszyć go jedynie na wykup którego z xiążąt Esterhazy, jeśli dostanie się w niewolę Turecką. Przypadek taki już się zapewne nie wydarzy. W r. 1809, komitat Edenburgu zajęty był przez wojska francuzkie. Oddział jazdy stanął przed Forchtensteinem; żołnierze xięcia Esterhazego nie chcieli otworzyć bram, oddział cofnął się, a warownia i bogactwa w niej zamknięte, pozostały w mocy właściciela. Taki dom Esterhazy, już tylko sam ieden w całej Europie przypomina domy wielkich lenników w wiekach średnich. Niezmiernie własci i majątek, którego pod dobrym zarządem zrównałby majątkowi monarszemu, warownie posiadane jako własność, wojsko utrzymywane kosztem prywatnym, prawo poświęcone zwyczajem, trzymania warty przy osobie panującego ilekroć wstąpi na ziemię wazala, prawo wjeżdżania na przedmieścia stolicy z oddziałem własnych żołnierzy i z rozwiniętymi chorągwiami: wszystko to, już tylko w Węgrzech istnieje. Xiążę Esterhazy może być prawą ręką monarchy i dobroczyncą swego kraju.

Przytaczamy jedno jeszcze najwydatniejsze znamie wieków średnich w konstytucji Węgier. Idzie o koronację królów.

Terazniejszy cesarz austriacki Ferdynand, był koronowany w Prezburgu w 1830 jako król węgierski. Wspaniały ten obrzęd, jedyny w Europie, zachował swoją pierwotną cechę. Wszystko odbywa się na



koniach, pod otwartym niebem. Sami nawet biskupi, w kaptańskich szatach, z mitrą na głowie, z pastorałem w ręku, jadą na koniach, w wspaniałe rzędy ustrojonych i prowadzonych przez masztalerzy bogato przybranych. Okazuje się zład, iż jest to życie i przepych koczującego i ciągłemi wojnami niegdyś zajętego ludu.

### NOWE DZIEŁA.

*Biruta część pierwsza*: wydawca Józef Krzeczowski, Wilno 1837. (z ryciną) cena zł: 15.

Pod tym tytułem wyszedł w Wilnie zbiór prozy i poezyi, w rodzaju Noworoczników zagranicznych i naszego Wianka. Wydawca przyznając że zbyt wielkie znalazł trudności w wygotowaniu rycin, nie zajmował się nimi i tylko jedną litografią zbior ten ozdobił, za to zaś usilnie starał się o pomnożenie i dobór textu. W *Birucie* znajdujemy poezye niektórych już od lat kilkunastu odznaczających się pisarzy i próby wielu nowych wierszopisów. — Wszystkie zaleca gładkość, a niektóre prawdziwy duch poetyczny, mianowicie zaś poezye i wyjątki z tragedyi, Józefa Korzeniewskiego. Ważna jest rozprawa p: t: *Litwa pod względem cywilizacyi w trzech pierwszych jej chrześcijaństwa wiekach*. — rozprawa Trynkowskiego p: t: *Genjusz wieku* — Obraz historyczny: *Pożar zamku wileńskiego*, przez P. Kraszewskiego, jest bardzo żywo i z pięknym talentem skreślony. Powiastka *Samowar* przez Ignacego Chodźkę, odznacza się tą prawdą i trafnością kolorytu, oraz przyjemnością stylu, którą już czytelnicy nasi znaleźli z mocnem upodobaniem, w *Domku Mojego Dziadka*, umieszczonym w Numerze 4tym Muzeum domowego z r. b. Te dwa artykuły dały nam poznać w Panu Chodźce Ignacym, znamienitego malarza obyczajów, wad i śmieszności swego kraju: niecierpliwie przeto oczekujemy liczniejszych płodów jego pracy. Powiastkę *Samowar*, umieszczamy w całości.

### S A M O W A R,

(powiastka)

„Twoja fortunka choćby i chatka,  
Będzie się dobrze wydawać,  
Jeżeli sta złotych będzie intratka  
A z nich choć dziesięć zostawać: \*\*  
Leez gdy ci w głowie wielmożność zaświeci,  
Zechcesz żyć huczno, huczno przyjąć gościa;  
Jak jegomościem zostałeś z waszeci,  
Tak znów waszecią będziesz z jegomością.

\* \* \*

S.

Któż w Litwie nie zna starego Muchina? Któryż dom nie ma go przynajmniej

raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy dostają wybornę, lub miernę w miarę jak chcą płacić, herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimą tułuba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur? na które swoje całoroczne małe, gromadzą dochody. Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjaciелеm, każdemu ma coś do przypomnienia, dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół: słowem on tu w Litwie, ma pewnie więcej znajomych i dłań uprzejmych, niżeli w swęj rodzinnej stronie. — Ten tedy Muchin w mroźny styczniowy poranek w wigilię Trzech Króli zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzie płacąc nieuważną młodości długi, zbankrutował nakoniec i opuściwszy staroświeckie pradziadów swych gniazdo, popędził się w świat za fortuną która mu z własnego domu uciekła.

Muchin wie czego komu potrzeba; p oserdecznem więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano; dobywał tułuby z doskonałych macie dla Jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla Imości, a płócienna, rypsy i najlepsze perkaliki dla panienek; ale na ten raz Muchin się oszukał: bo pan Baltazar Sularski, który w ciągu roku przedzielającego tu bytność kupca, z ekonoma, został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność i za nią usadowił się wiecznem a wilczem prawem na folwarku gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nie już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy, poznał na co się zanosi, przepowiedział zły koniec dziedzicowi, i dla tego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniósłszy do izby towary, postrzegł w niej niejakie odmiany, była na nowo wybieloną, na miejscu zedła stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stolik czeczotkowy, kilka krzesel około stolika; na ścianach na miejscu pobożnych obrazów, cztery pory roku, Wenus a la Titien i historia syna marnotrawnego: Ha! pomyślił stary lis, coś tu inszego pokazać przyjdzie; jakoż z oburzeniem odrzuciła Imość i panienki wszystko co przyniosł, a Jegomość objaśnił zadumienie Muchina, wykrzykując w pełni ugotowanej miłości własnej: »Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! diabli wzięli mego pana, Podkomorzycza: a teraz ja tu pan! — No pozdrawlajem! pozdrawlajem rzekł Muchin; napijemy się wódeczki za zdrowie



Pańskie! to dobrze! to wymienienie! *ja eto-mu oczen rad!* I imość kochanińka! i panienki *tepier barysznie!* *eto charaszo, eto oczen charaszo!* Tym czasem mruknął kilka słów niezrozumianych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczał długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspominał czaj i samowary, panna Salomea starsza córka Ichmość gospodarzy, podskoczyła raźnie jakby starego Muchina pocałować chciała! — Ach! samowary, trzeba koniecznie kupić samowary. Papuniu! samowary, trzeba koniecznie kupić Papuniu samowar i czaju: wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewianą dusić się musimy: papa dali-bóg musisz kupić samowar: czy pan Bóg papie nie dał, chwala Bogu teraz i majątku? czy nie ma za co? — Ej! co tam bredzisz ofuknął się Jegomość: idź precz z tym swoim samowarem; ot napijemy się z przeciwnym Muchinem żytniej herbaty, to lepiej będzie; do Wać pana panie Muchin — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafi do celu, pociągnęta nieznacznie mamę za suknią, weszła do alkierza, a za nią i mama: tam z płaczem przełożyła mamuni, że nigdy za męża nie pójdzie kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak dotąd, bo nikt nie bywa u nas, więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał, czy my po ludzku przyjmiemy: ot pan assessor może i do prawdy ma się do mnie, bo nie raz powtarza że mnie kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie, to Jegomość wita go pierwszym słowem: »Ja podatki opłaciłem« — traktuje potem prostą wódką, a dla koni nie daje obroku: i czy mało ktoby się zdarzył... — Nu dak co? przerwała mama chcąc dopomóc losowi córeczki, czegoż trzeba? — Trzeba mamó kupić samowar i herbaty, mieć czém przyjąć i potraktować gości! Czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?... — Da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała! Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego — Niechajże mama idzie, dodała całując jej rękę i niech Jegomość kupi Samowar. — Da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sularski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem, dobił targu o tułub, i wnet się weń ustroiwszy, przechadzał się rozkosznie po izbie, podejmując go u pasa obie-ma rękami w górę, bo był za długi na niską krępałą figurę Jegomości: — A co dusz-

ko? widzisz w jakim ja sobie tułubie? Powlekę go suknem i dam kołnierz ze stariej *miedźwiedni* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacyi w czasie exdywizyi kupiłem, ot będą miał i *miedźwiedzie* — Da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszeć Jegomość (bo pani Sularska dla której przez lat 30 męzulo był *waszecia*, trudno do Jegomościa przywyknąć mogła, i najczęściiej etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszeć jegomość kup lepiej *samowar* i *herbaty!* — Czy znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? Ja piję zrana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz kiedy jaki Mości Pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem... — Ot waszeć bałamucisz przerwała Imość i po wszystkiem: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za męża powydawać, a nie chcesz żyć jak ludzie! — Papa wszak mówił onegdaj, odezwała się pokornie Salomeja, że chcesz zostać Sędzią Granicznym — Ale sędzią! a czy ten samowar zrobi mię sędzią? Poparł całą swą wymową żądanie Imości i Panienki Muchin; jeszcze razy ze trzy Imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę Samowaru: obawiając się aby udobruchawszy się nie zapomniał się i nie stracił na przedłużonym targu: nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki, i radom Muchina; który odebrawszy podwójną wartość samowaru zaniósł go z poważną miną na stolik w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany: funt herbaty dopełnił reszty kupli, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszki wychyliłszy kroplę; po kilkukrotném zapewnieniu kupca że nigdy nie minie tak *czesnych* gospodarzy, rozstali się wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomea z nowego naczynia! ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkiem, i zdaleka i zbliska; rozbierała go na części, exenterowała wewnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić aby przygotować herbatę na samowarze: nagle myśl ją wielka objęła! Jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pędem i znowu pociągnęta mamę za suknię do alkierza.

Wiesz co mamó? — Nu dak co? — Jutro imieniny Jegomościa, Trzech Króli; Kasper, Melchior i Baltazar! — Aha! nu dak co? — Zrobim mamó siurpryzę! — Co to jest siurpryzę? czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tuniema: a może jeszcze co z kramów? — Ale nie-



mamo! nie!—Waszeć Salomciu nie potrzebnie u pani sędziniej nauczyłaś się pańskich fumów! my szlachta, na co nam to potrzebno! tak. Daj pokój tym syr... sur... jak tam gadasz!—Ale mamo to nie potrawa, to co innego!—Nu dak co?—To znaczy, że mimo wiedzy Jegomościnej zaprosimy na jutro gości, i wydamy herbatę z samowara, i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tym niepowinien:—Nu dak co? dak trzeba powiedzieć Jegomości? Zniecierpliwiona córunka taką niewyrozumiałością mamy:—Ale co imości dzieje się rzekła i zaczęła obszerniej tłumaczyć swoje plany, a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nu dak co? więc milczenie wzięwszy za zgodę i wyrozumienie, wyszła z alkierza panna Salomea i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.

(Dokończenie nastąpi).

## BERNARDIN DE ST. PIERRE.

Gdy w połowie ośmnastego wieku, materializm zatrął umysły i serca, podkopał podstawy społeczeństwa i religii, a jego zwolennicy i apostołowie tryumfowali imieniem filozofów ozdobieni, objawiła się reakcja przeciw ich zgubnemu działaniu, słaba z razu i nieśmiała, ale w krótko po tem potężna i zwycięzka. Pierwszym autorem, w którego pismach okazał się znowu zbawczy duch moralności i wiary, był Bernardin de Saint-Pierre; życie jego równie jest zajmujące jak jego pisma. — Skreślono ono było w Wizerunkach Naukowych wileńskich.

Zbyt małe upowszechnienie w kraju naszym, tego użytecznego i zajmującego czasopisu, skłania nas i upoważnia do umieszczenia w wyjątkach, zarysu życia i pism Bernardina de Saint-Pierre, jako rzeczy, nowszej dla nas i mniej znanej niestety, aniżeli przekłady z francuzkich i niemieckich magazynów malowniczych, w liczbie kilkadziesiątu, a może i parę set exemplarzy do Warszawy sprowadzanych i czytanych.

Miejscem urodzenia Bernardina de Saint-Pierre było miasto Hawr. W dzieciństwie zaraz wieku odznaczył się pilnym przykładaniem się do nauk, tudzież skłonnością do dumania; przytrafiło się jemu, podobnie jak wszystkim, wiele drobnych przygód, wiele niedorzeczności pierwiastkowego wieku, które w życiu ludzi sławnych, w anegdoty się zamieniają. Rysem znamionującym rodzący się jego charakter, było żywe do wsi, oraz do samotności upodobanie. Zdarzyło mu się znaleźć, w domu rodzinnym, *Zywoty Ojców Pustelników*:

przeczytał je z całą ciekawością młodej i żywej wyobraźni. Te cudowne opowiadania, te ucieczki do Tebaidy, napełniły go entuzjazmem ku życiu samotnemu i zaufaniem w pomoc Opatrzności, tak dalece, iż w dziewiątym roku życia, zostać sobie pustelnikiem ułożył. Sprzętem jego jedynym pustelniczym był mały koszyk, w którym składano żywność przeznaczoną mu do skoty. Z tem udaje on się do lasu o ćwierć mili od Hawru i tam dzień cały przepędza. Nianka udała się na jego szukanie i przyprowadziła do domu wieczorem: owoż koniec najpierwszej przygody jego życia.

Pierwiastkowe te skłonności, które nie szczególniejszego w dziecięciu nie okazywały, przyprowadziły później za sobą żywe nader upodobanie w podróżach. Wrażenie to podsycane czytaniem podróży, jakich tylko mógł dopaść, było jeszcze podniecane pobytem w Hawrze, tudzież widokiem tantejszego pełnego życia portu. Zaiste skłonności młodego Bernardina de Saint-Pierre, miały w sobie coś rzetelnie stanowczego, ponieważ we dwunastym roku rodzice jego zgodzili się, ażeby się udał do Martyniki, z jednym ze swoich stryjów, który był kapitanem. Znudziło go przebywanie na okręcie; nie nazbyt zajął się widokiem Martyniki, wrócił się zatem kończyć swoje nauki w kolegium jezuickim w Caen. Z Jezuitów byli biegli i dowcipni nauczyciele; z upodobaniem uprzyjemniali oni naukę, ale to zawsze na korzyść swojego zakonu. Przeważnie w godzinach wytchnienia a nawet niekiedy naukom poświęconych, czytali swoim uczniom budujące listy (*Lettres edificantes*), dzieło, które tak lubił Montesquieu, dzieło pełne opisań ciekawych Indyj, Chin, tudzież całego wschodu, a razem anegdot cudotwornych, na chwałę Jezuitów.

Imaginacja naszego poety porwana została z nową żywością przez te czytania; postanowił przeto zostać misyonarzem, nie tyle dla nawracania niewiernych, jak dla widzenia dalekich i nowych krajów, tudzież dla przejęcia się widokiem tego wspaniałego wschodu, który w opisaniami Jezuitów tak urzekał. Wiadomo, że Fenelon także miał tę samą żądę udania się na wschód, do Persyi, Grecyi, dla pozyskania dusz Bogu, oraz zaspokojenia swojej imaginacji oczarowanej pamiątkami starożytności greckich. Młody de Saint-Pierre, równie jak Fenelon, ustępując prośbom rodziny, przedsięwzięcia tego zaniechał; ale upodobania swojego w wędrownictwie nie stracił.

Obdarzony ławem nader pojęciem, prowadził dalej swoje nauki, doskonaląc się w matematyce, w której szybkie postępy



uczynił. To usposobienie naukowe, stan mu wkrótce uczciwy zjednało. Mianowany inżynierem drogi mostów, udał się do Niemiec, gdzie Francuzi wtenczas prowadzili wojnę, bez pożytku wprawdzie i sławy dla swojego oręża. Znajdował się przy oblężeniu Dusseldorfu, i potykał się tam z wielkiem męztwem. Powrócił potem raniony i złej chęci. Powiadają, że charakter jego był opryskliwy, że się waśnił ustawnie ze swoimi naczelnikami i z równymi sobie. Zaprzeczać zaiste nie można, żeby imaginacja żywa i talent wyższy, nie miały w sobie coś wyniosłego i niełatwo giętkiego, co umysły mierne lub skłonne do przesyłowania, nazywają pychą. Powróciwszy do Francji, domagał się o to, na co obojętność do zniechęcenia wystarcza. Podawał potem plany, projekta, rozprawy; słowem, umysł jego tysiącem projektów reformy i nowości był zajęty. Coś stanowczo gruntownego i razem romansowego w nim się mieszało: miał on systemata ulepszenia praktycznego w sztuce wojennej; a przy tém nadzieję zaprowadzenia nowej kolonii, doskonale szczęśliwej, wolnej od nieszczęść i występków wielkich państw nasyżych.

Pełen tych różnych projektów, bez protektora, bez żadnego wsparcia, przy kilku jeszcze błahych podrzędnych zawiściach, de Saint-Pierre z talentami tudzież ambicyą romansową, a tém samém niewinną, ujrzał się odepchniętym od wszystkiego. Popadł w ubóstwo i zraził się niezmiernie. Wtenczas przyszło mu na myśl opuścić Paryż i swoje nędzne pomieszkanie, przedadź swoje książki matematyczne, które prawie całe jego mienie składały, pożyczyc kilka ludiorów u przyjaciół i udać się w głąb Rosyi, dla zaprowadzenia kolonii nad brzegami jeziora Aralu. Zawsze to coś kosztuje, mieć żywą imaginacyą; przyczynia się to do jakiegoś dziwnego postępowania w życiu i w zamiarach, które je napełniają. Wyjeżdża, przybywa do Hollandyi; a tam zamiast zostania założycielem kolonii i twórcą nowego państwa, tymczasem dziennikarzem zostaje. Pewny Francuz, człowiek utalentowany, który wydawał gazetę w Amsterdamie, przybrał go sobie za współnika: korzystał z jego talenu, obchodził się względem niego z szacunkiem, wystawił mu widoki korzystne; ale nie zdołał, przez czas długi przywiązać do miejsca, niesłatecznego i młodego wędrownika. Przepędziwszy pięć lub sześć miesięcy na pisaniu do gazety amsterdamskiej, de Saint-Pierre wspomniął sobie na swoją kolonią; udaje się do Lubeki, z Lubeki do Kronsztadu, a ztamtąd, pewnego poranku, do Petersburga przybywa.

Rozstawszy się prędko ze swoimi towarzyszami podróży, z którymi w jednym jachcie płynął, zagubił się w tém niezmiernem mieście, w którym nikogo nie znał. Wkrótce zaczęło mu schodzić na pieniądze, przewodniku powszechnym u narodów cywilizowanych. Błąkał się po granitowych wybrzeżach ciągnących się po nad Nową, bez przyjaciół, bez środków utrzymania się, sześć już ledwie franków mając na życie, a zawsze jednak zajęty nadzieją założenia swojej kolonii, w jakiejś żyźnej dzielnicy stepów Rosyjskich.

Przypadek zbliżył go do marszałka Munnich, który interesując się jego losem, wyprawił go do Moskwy. Tam de Saint-Pierre znalazł opiekuna w P. Vilbois wielkim mistrzu artylerji; przedstawiony był Cesarzowej Katarzynie W. poręczony Orłowowi, który, jak część większa magnatów rosyjskich, lubił nauki i sztuki, hojnego na nie wsparcia nie oszczędzając. Gdyby de Saint-Pierre miał umysł praktyczny i przebiegły, albo przynajmniej baczenie na swój interes osobisty lub ambicyą, pod przemożną protekcyą tego pana, byłby się, jak wielu innych, z bogacił i przyszedł do zaszczytów. Lecz go zawsze myśl założenia nad brzegami jeziora Aralu kolonii, nadania jej praw mądrych i dobrych obyczajów, zaprzętała. Rozwinał więc przed Orłowem wszystkie swoje projekta. Magnat ten uznał je za romansowe marzenia, jakimi były w istocie, a Pana de Saint-Pierre wystąpił do Finlandyi, w stopniu kapitana artylerji, ażeby rozpoznać i oznaczyć pozycye wojenne.

Tak więc, ten umysł pełen złudzeń dobroczynnych, ten nowoczesny Platon, ten rociół nowej Atlantydy, udaje się do lasów fińskich, wybierać i oznaczać pozycye, rachować opór, jaki te puszcze gęste mogą stawić ogniomu działowemu. Przepędził on tam wiele miesięcy, zaprzętniony całkowiecie kombinacyami wojennymi, w pośrodku tych brzóz i sosen niezmiernych, których tak malownicze opisy wystawił.

Po ukończeniu téj roboty powrócił do Moskwy; ale już nie znalazł swoich opiekunów przy znaczeniu u dworu; zamiar przeto jego, zaprowadzenia kolonii, okazał się bardziej nie podobnym niż kiedykolwiek. Rzuca więc służbę i nadzieje pomysłniejszego w nięj losu; udaje się do Warszawy, gdzie oddawszy się zabawom i uroczej przyjemności życia, zapomniał o wszystkiem. Ulegając dziwnym poruszeniom swojego drażliwego humoru, oddalił się do Wiednia; powrócił potem znowu do Warszawy, ale już na próżno; udał się zatem do Drezna; żył tam, czas niejaki, wśród



uciech i rozkoszy. Wybiegł potem do Prus, gdzie mu wszystko do smaku nie przypadało; nie chciał więc tam długo przemieszkawać. Owoż dziwa i rzuty dowcipu wspaniałego, szlachetnego, niepodległego, ale razem z niespokojnością i niestatkami połączonego, które mu w przeciągu sześciolatnich wędrówek, losu swojego ustalić nie dopuściły. Chociaż zaiste przeciąg ten lat sześciu zmarnował de Saint-Pierre na bezowocnych wędrówkach, chociaż nie miał ani pieniędzy, ani przyjaciół, ani protektorów, ani zasług, któreby mu prawo do czegoś nadawały, z Pruss atoli do Francji powrócił. Cóż tedy w biegu tych sześciu lat zrobił? przez który zdaje się być płochym, próżniakiem, a nawet rozpustnikiem?—Wiedział, czuł i cierpiał wiele: nagromadził wzruszenia i kolory; różnym się wcale od innych ludzi uczynił: w mniemaniu pospolicich sędziów był on awanturnikiem; ależ za to przeszedł przez szkołę, w której się rozwijają malarze, poeci i ludzie z wyższymi talentami. Tyle więc zyskał na swoich długich wędrówkach. Wszelakoż umierał prawie z głodu.

Zaczął więc pracować, ale nie dla chwały; nie wiedział nawet o tém że dla niej był stworzony; pracował dla bióra ministerskiego; układał rozmaite projekta: projekt udania się do Indji nową drogą; projekt kolonizowania wyspy Madagaskaru i t. d. Nakoniec pisał w różnych przedmiotach administracyjnych i prawodawczych traktaty, które do rozmaitych biór posyłał. Przyjaźń P. Henin, do którego pisywał listy pełne zajęcia i szlachetności, zjednała mu skromną łaskę udania się na Wyspę Francuską (*Ile-de-France*), w charakterze inżyniera, z tajemnym poruczeniem udania się, jeśliby można, do Madagaskaru, i do założenia tam fundamentów swojej kolonii.

Tu życie Pana de Saint-Pierre mniej się już zaczyna w cieniu ukrywać: powiadają, że to na jego krzywdę. Lecz nasze mniemanie jest różne; nie lubimy uwłaczać sławie i charakterowi człowieka, niepospolitą obdarzonego talentem. Pojmujemy i umiemy sobie wytłumaczyć żywość niecierpliwa w człowieku, który miał w sobie wyższość rzetelną, a widział się zawsze wystawionym na sztych fortuny, tudzież głupich ulubieńców, których ona sobie najczęściej przysposabia. Łatwo się nader obrażał; ale dla czegożby się miał wyrzekać szlachetnej pychy? Wystawiony był na zazdrość, oskarżenia, niedowierzania. To się zdaje rzeczą bardzo naturalną, albowiem nie zajmował swojego miejsca.

Pobył jego na wyspie Francuskiej, zszedł na sporach z inżynierem naczelnym, z komisarzem marynarki. On pisał przeciwko

nim, oni przeciwko niemu. Wszystko to bardzo mało nas obchodzi.

Cóżkolwiek bądź, wtenczas to po raz pierwszy talent pana Bernardin de Saint-Pierre, zubożony już tylą rozmaitych wrażeń, dał się poznać publiczności przez dzieło. Powrócił on ubogi, jak zawsze, z Wyspy Francuskiej; ale przywiózł z sobą książkę, natchniętą widokami miejscowości, napełnioną interesującą uwagami nad klimatem, płodami wyspy i wymownymi myślami nad życiem kolonialnym, tudzież losem niewolników. W wieku około lat czterdziestu, nakoniec zbliżył się do przeznaczenia, ku jakiemu natura go utworzyła, jakiego szukał w pośród zmiennych życia czynnego kolei: został wręście malarzem przyrodzenia i pisarzem moralistą. W tej epoce, książka była wielkim sposobem odznaczenia i wziętości. De Saint-Pierre z uprzejmością przyjęty przez d'Alembert'a, wprowadzony został do towarzystwa filozofów.

Nakoniec, z pośrodku tego nieszczęśliwego życia, z tego ciągłego prawie ubóstwa, z tej ledwo niezupełnej samotności, z tego rzadkiego, lecz pełnego natchnień porozumiewania się z Russem, wyszedł pisarz oryginalny, i dzieło *Badań Przyrodzenia* (*Etudes de la Nature*).

Ach! jeżeli w życiu człowieka, który wiele ucierpiał, z którym się źle ludzie obeszli, a który ma wewnętrzne swojego niepoznanego geniuszu uczucie, jeżeli mówię w życiu jego jest dzień pogodny, który mu za wszystkie jego trudy i cierpienia odpłaca, który za nie odpłaca z lichwą, jest to, zaiste, ta chwila, kiedy się talent odkrywa, kiedy się przez ogłós publiczny, o chwale swojej zapewnia! Przypomnijmy sobie opowiadanie Russa, kiedy opisuje jak był obecnym przy wystawieniu *Wieszeczka Wiejskiego* (*Devin de Village*) pośród okazałego przepychu w *Fontainebleau*, przy całej świetności dworu, on nieznany, ubogi, w swojej zaniedbaniej odzieży, słyszał z nagłą podziwieniem, krążące około siebie i tysiąc głosów powtarzających: »Jak to jest bozko! jak te wszystkie tony trafiają prosto do serca!« Dla tego Russo, w duszy swojej poetyckiej, największą, jak można, czuł rozkosz.

Owoż! tego upadającego wzruszenia, sprawiedliwej pychy, doświadczył Bernardin de Sains-Pierre, aż dotychczas tak nieszczęśliwy, kiedy w pośrodku tej społeczności, która się żywiła systematami ekonomii społecznej i ulotnemi wierszykami, podniósł się głos entuzjazmu, witający pisarza nowego, który takie czarodziejstwo na widok przyrodzenia rzucił.

(Dokończenie nastąpi).